
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatart śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Zofia Wierzchowska – Rodzina jest wszystkim

Losy rodziny Wierzchowskich opisane przez Zofię Wierzchowską, starszą córkę Haliny oraz Antoniego dotyczą trzeciej deportacji z czerwca 1940 roku. Są unikatowym i bezcennym źródłem, które nie tylko powinno zostać zapamiętane, ale również naukowo opracowane. Przede wszystkim ze względu na fakt, że w opracowaniach dotyczących tzw. wywózki „bieżeńców” nadal znajdują się białe plamy. Wypełnienie ich wymaga ogromnego nakładu pracy takiego jak przeszukiwanie archiwów, poszukiwanie ofiar, lub ich rodzin czy nagrywanie relacji świadków. Wynikiem tego wysiłku jest uratowanie od zapomnienia konkretnych ludzi, których opisane losy utworzą im pomnik twardszy niż ze spiżu.

Relacja Zofii lub Zochy jak sama podpisuje się w listach jest wdzięcznie napisana, zawiera wiele informacji, a co równie ważne – jest niesamowicie przystępna w czytaniu. Ponadto została spisana na świeżo, już w 1947 roku. Wspomnienia Zofii czyta się z zapartym tchem, nie sposób nie polubić jej, jak i całej rodziny. Przeleżałe wspomnienia, które wcześniej nie były upubliczniane, powinno się wreszcie pokazać światu.

Antoni i Halina Wierzchowscy wraz z córkami Hanną i Zofią do początku września 1939 roku zamieszkiwali w Bydgoszczy. Po niemieckiej napaści na Polskę Antoni – pracownik Polsko-Francuskiego Towarzystwa Kolejowego otrzymał polecenie ewakuowania dokumentów firmy do Łucka. W podróż na wschód udał się wraz z rodziną. Początkowo Wierzchowscy

zamieszkiwali w Różyszczach nieopodal Łucka, a wiosną 1940 roku przenieśli się do Włodzimierza Wołyńskiego, skąd 29 czerwca 1940 roku zostali deportowani przez władze sowieckie¹.

Ostatnie wakacje

W wakacje 1939 roku rodzice nie chcieli wyjechać z Bydgoszczy, bo wojna „wisała na włosku”. Ciotka (siostra mamy) zaprosiła nas do swej willi w Gdyni, ale żeby ją to tanio kosztowało to do sutereny. Byłam na to oburzona i nie chciałam z takiego zaproszenia skorzystać. Stało się jednak inaczej. Przyjechał z Gdyni, na motocyklu, wujek Sławek (brat mamy) i prosił o opiekę nad Bożeną (jego córką) w czasie wakacji, bo ciotka (jego żona) miała jechać z nim za granicę. Mieliśmy więc do swej dyspozycji całe mieszkanie w Gdyni. Oczywiście komfortowe mieszkanie to nie to samo co suterena.

Z radością witałam morze. Te ostatnie wakacje były bardzo wesołe. Miałam swoją siatkę i piłkę, to też poświęcałam temu sportowi i kąpielom w morzu wszystkie chwile. Było w Gdyni dużo młodzieży, więc nie nudziło mi się. Skończyłam 15 lat i chciałam uchodzić za zupełnie dorosłą. Po powrocie cioci z zagranicy zaczęło mi się jeszcze lepiej powodzić. Wujek, bardzo o ciotkę zazdrosny, kazał jej wszędzie chodzić ze mną. Ja na tej roli przyzwoitki całkiem dobrze wychodziłam, bo bawiło mnie fundowanie ciastek, lodów itp. przez cioci adoratorów. Na plażę chodziliśmy obładowani pomarańczami, orzechami, cukierkami i czekoladą, bo wujek przywiózł tego dużo. Robiliśmy też sporo zdjęć.

W końcu sierpnia ta sielanka się skończyła. Wujek z Warszawy (szwagier mamy) przysłał telegram szyfrem, żebyśmy wracali, bo wojna tuż tuż. Było to 25-tego sierpnia. Z żalem żegnałam morze i siatkówkę. W Gdyni panował już nastrój ponury. W domu zaciemnialiśmy okna. Mama pakowała szkło i porcelanę. Ojciec przewidywał ewakuację biura (pracowników) jednakże bez rodzin.

Nadszedł pamiętny piątek 1 września. Włączone radio donosiło, że bombardują już Częstochowę i lotnisko w Bydgoszczy. O 11-tej przybiegł ojciec, nakazując nam się pakować. Dostał rozkaz ewakuacji biura i rodzin. Za dwie godziny mieliśmy być z rzeczami na stacji. Ojciec, urzędnik dyrekcji Francusko-Polskich Kolei Państwowych, miał pakować papiery urzędowe, a więc nam nie mógł pomagać.

Dnia 1 września ujawniła się jak nigdy dotąd (mówiąc optymistycznie) moja beznadziejna, niepraktyczna i marzycielska natura. Usiadłam do pianina i urządziłam sobie z nim pożegnanie, mając dobre przeczucie, że gram na nim po raz ostatni! Jeżeli chodzi o pakowanie, to zapakowałam z pietyzmem w bibułki i worki, a następnie w kufer dzieła Krasińskiego, Słowackiego i Mickiewicza, ilustrowaną księgę zawierającą opisy w 4 językach i niektóre kopie obrazów z „Zachęty”. Z sukienek wzięłam tylko swój szkolny mundurek. Oprócz książek wzięliśmy pościel, zimowe palta i garnki. Na stacji staliśmy

¹ Maszynopis wspomnień Zofii Wierzchowskiej znajduje się w Archiwum Wspomnień Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Liczy łącznie prawie 50 stron tekstu napisanego piękną polszczyzną, ze swadą i zacięciem literackim. Na potrzeby „Zesłańca” tekst poddano jedynie skróceniu, bez ingerencji w oryginalny kształt wspomnień. Opracowanie relacji Paweł Bezubik,

aż do nocy nie bojąc się specjalnie, a przecież Niemcy mogli zbombardować dworzec już pierwszego dnia. Na nasze szczęście zrobili to dopiero 2 września. Mijaliśmy transporty żołnierzy z uśmiechniętymi twarzami i napisami na wagonach – „Jedziemy po Grunwald”. Z ich roześmianych twarzy czerpaliśmy otuchę. Jechaliśmy w strasznej ciasnocie.

Jechaliśmy ciągle bojąc się nalotu. Niestety przeszliśmy i my chrzest bojowy. Było to w Nałęczowie pod Lublinem. Nagle zrobił się popłoch, przyleciało 5 bombowców i zaczęło się bombardowanie. Ojciec był zdania żeby nie wychodzić z wagonu, więc został. Myśmy z mamą wybiegły. Kiedy zobaczyliśmy jak nasz wagon zapadł się jakby pod ziemię, myślałyśmy, że już nie mamy ojca. Tymczasem ojca tylko przygniotło walizkami i rozbitym szkłem. Wszystko zleciało z półek, oprócz kartonu z radiem, gdzie był zapakowany krzyż. Ojciec ocalał, jak i krzyż oraz radio. Było jednak kilka osób zabitych i rannych.

Kto wie czy z tego bombardowania wyszlibyśmy cało, gdyby nie to, że w naszym pociągu na węglarkach jechali marynarze ze Szkoły Morskiej. Ci młodzi chłopcy tak gorliwie ostrzeliwali Niemców, że jeden samolot zestrzelili. Pilot widział doskonale, że były kobiety i dzieci! Kiedy zabrakło mu bomb, siekł karabinem maszynowym. Pamiętam, jak trząśł się ze strachu mały chłopczyk Wiesio. Miał twarzyczkę aniołka, jasne długie włosy. Złożył pobożnie rączki i szeptał „Serce Boga zmiłuj się nad nami”. My z mamą byłyśmy ciągle o krok od śmierci. Wreszcie skończyło się bombardowanie. Marynarze spisali się dzielnie. Opatrywali rannych, grzebali zabitych. W dodatku pilnowali wagonów, tak że ocalały rzeczy i nic nie zginęło.

Zapowiadał się dłuższy postój, a więc pojechaliśmy do wsi Nałęczowo. Kiedyśmy wrócili przerażenie nasze było ogromne, bo nasze bagaże pojechały razem z pociągiem do Rożyszc (koło Łucka). Pojechaliśmy do Lublina, gdzie chcieliśmy wstąpić do rodziny. Idąc do nich musieliśmy się chronić po schronach przed nalotami samolotów niemieckich, które prześladowały nas ciągle. Rodzina przyjęła nas bardzo gościnnie. Prosili, żebyśmy się u nich zatrzymali. Nie chcieliśmy się zgodzić przez te nasze rzeczy, które pojechały na wschód. Jechaliśmy dalej do Rożyszc. Codziennie rano ze świtem, a nawet wcześniej, przylatywały samoloty bombardować Rożyszcze. Nie mogąc wytrzymać w domu uciekaliśmy w pole aby dalej od linii kolejowej. Chowaliśmy się w szczyrim polu albo w stodołach.

Nadszedł pamiętny dzień 17 września. Mama umawiała się z jednym Żydem o podwodę, która zawiozłaby nas gdzieś z dala od torów kolejowych. Nie myślałam wtedy o niczym, tylko cieszyłam się na myśl, że nazajutrz nareszcie odpoczniemy od bomb. Jechaliśmy mimo deszczu i nocy. Kiedy przybyliśmy na miejsce przeznaczenia i zatrzymaliśmy się przed posterunkiem policji aby poprosić o nocleg, policjanci pokiwali nad nami głowami i oznajmili, że „dzisiejszej nocy wkroczyli bolszewicy, a wy przyjechaliście na ukraińską wioskę chyba po to, żeby was zamordowali”. Wracać już było za późno z powodu nocy i deszczu.

W końcu postanowiliśmy wyruszyć z powrotem do miasta. Na drodze do Rożyszc spotkaliśmy czołgi sowieckie. W Rożyszczach zatrzymaliśmy się na stacji, ale tam też było niespokojnie. Ukraińcy walczyli z Żydami o władzę. Nasze kwatery były potrzebne dla wojska i wyrzucili nas do Kopaczówki. Tam

poznałam miłą gromadkę polskiej, patriotycznej młodzieży. W długie zimowe wieczory zbieraliśmy się aby pośpiewać i bawić się. Nawiązały się przyjaźnie a i miłość nie była mi obcą. Uroczyste obchodziliśmy Święta Bożego Narodzenia. Na pasterkę poszliśmy do Rożyszcza całą paczką. Z pasterki wracałam saniami zaprzyjaźnionych gospodarzy.

Eksodus

Nadszedł Nowy 1940 Rok. Był to dla nas okrutny rok. Cały maj byliśmy jeszcze w Kopaczówce – ten prawdziwy maj mojego życia. Dnia 3 czerwca wczesnym rankiem żegnali nas sąsiedzi z młodzieżą na czele. Dostałam mnóstwo kwiatów: róż, konwalii i bzu. Cały drabiniasty wóz tonął w kwiatach. Obdarowano nas na drogę chlebem i produktami.

Wyruszyliśmy w drogę do Włodzimierza. Przy pierwszym przydrożnym krzyżu położyłam część moich kwiatów, szczególnie konwalii, bo te skromne kwiatki bardzo lubię, a resztę wiozłam aż prawie do samego Włodzimierza. Kwiaty powiędły, ale pozostała pamięć o dobrych sercach.

W nocy 29 czerwca zostaliśmy wywiezieni z Włodzimierza na Sybir. Już od wieczora w zajmowanym między innymi przez nas domu (zapewne po osadniku), gdzie czekaliśmy na komisję mającą umożliwić nam powrót do domu, panował niepokój. Około północy podjechała ciężarówka NKWD. Towarzysze obstawili wokół nasz dom i krzyczeli „sobierajties – 5 minut wremieni”, i to było wszystko. Niezapomniany widok.

Powieźli nas na stację. Byliśmy prawie pierwsi z transportu. Trzymali nas przeszło dobę we Włodzimierzu w zamkniętych bydłowych wagonach (w potworny upał). Jechaliśmy na wygnanie, na zsyłkę. Nie płakałam, bo wtedy było mi już wszystko jedno, nic nie czułam. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że zostanę do końca życia na Syberii, bo w uszach dźwięczały mi słowa starej babci Kazi z filmu „Wrzos” – „stamtąd się już nie wraca”. Przypomniałam sobie słowa piosenki ułożonej przez Sybiraka - „O chwilo byłaś okrutna, jak myśmy Polskę żegnali, strumieniem łzy z oczu płynęły, jak my granicę mijali”.

Lipiec 1940 roku to droga na Sybir. Jechaliśmy omijając większe miasta. Pamiętam tylko Czernigow, Kursk i Nowosybirsk. W wagonie towarowym były 52 osoby. My mieliśmy miejsce na górze. Było bardzo ciasno i duszno. Dowieźli nas do końcowej stacji Asino. Dalej nie było już drogi kolejowej. Na razie wyrzucili nas do naprędce przygotowanych baraków. Po raz pierwszy poznaliśmy w drodze co to są wszy, a w barakach – co to są pluskwy. Ładowaliśmy się w nocny i w dzień przyjechaliśmy do Okumiejewa. Później była kilkudziesięciokilometrowa droga furmanką. Podczas drogi, mała wówczas Hanka zasnęła i zgubiła pantofel, którego później mama musiała szukać w tajdze. Po przyjeździe wyrzucili nas na plac. Baraki były już pozajmowane przez wcześniej przybyłych.

Przyjechaliśmy na tak zwany „lessozawod”, który był otoczony drutem kolczastym, gdyż byli tam więźniowie, przeważnie polityczni. Po kilku tygodniach bytowania na dworze naczelnik Paszkow przydzielił nam pomieszczenie przeznaczone na izolator (areszt). Niestety, pomijając ciasnotę celki, pluskwy nie dawały nam spać, a była ich niesamowita ilość. Znow musieliśmy uciekać przed dom i ponownie zaczęła się „sielanka” na świeżym powietrzu. Zamieszkaliśmy

w sieni baraku doktora Houswirda, polskiego Żyda. To były dni zupełnego upokorzenia. Doktor wyrażał się zdecydowanie wrogo o Polakach, na przykład „przetączyli Polskę” i deptał po nas przechodząc przez sieni, bez żadnych skrępowań.

Moi rodzice pierwszej zimy pracowali w biurze, ja na razie nie pracowałam. Rodzice zasadniczo pracowali do siódmej wieczorem, mówiąc żartem – był to siedmiogodzinny dzień pracy – od siódmej rano do siódmej wieczór. Ojciec przychodził do domu nawet o drugiej w nocy. Praca oczywiście była darmowa.

W sierpniu wysłałam pierwszą wiadomość o nas na Wołyń i z utęsknieniem czekałam na listy. W nich teraz było całe moje szczęście. Pisali wszyscy koledzy i koleżanki, no i Stach. Pierwszy jego list był utrzymany w przyjacielskim tonie, natomiast drugi był za gorący. Ja otrzymałam ten list akurat wtedy kiedy prałam, byłam głodna i zmarznięta. Było to we wrześniu, a ten Stach kazał mi się przyzwyczajać i czekać cierpliwie. Odpisałam z pasją, że on może tak pisać, bo nie zna głodu i chłodu, a mnie już nie w głowie spacerować przy księżycu. List pisałam w tonie niegrzecznym. Chciałam jego dobra, aby zapomniał o mnie i miał do mnie niechęć, która niweczy miłość. My byliśmy przecież skazańcami. Mieliśmy być tu, jak mówił naczelnik Chrystolubow, 50 lat, a więc całą wieczność. Tak zakończyłam swoje wielkie szczęście.

Jeśli chodzi o nasze listy wysyłane do Polski, to trzeba przyznać, że w dziwny sposób ginęły. My natomiast często otrzymywaliśmy listy i kartki, ale z bardzo ograniczonym zakresem wiadomości.

Kto nie pracuje, ten nie je

Wiosna na Syberii zaczyna się w końcu maja. Lato jest bardzo krótkie, ale dni w lecie są bardzo długie i do 11-tej w nocy jest jasno. Prawie codziennie pada deszcz i występują silne burze. Zima zaczyna się w drugiej połowie września i na imieniny ojca leży już śnieg (28 września). Studnie w głębi są przez cały rok podmarznięte. Kiedy topniał śnieg mama z Hanką chodziły odkopywać kartofle. Kilka razy udało się, ale raz naczelnik Chrystolubow urządził pogon i kartofle im poodbierał. Hanka wtedy najadła się strachu, gdyż razem z kartoflami zabrano jej sweter. Ja wówczas rozchorowałam się i leżałam w silnej gorączce.

Ojciec został wyznaczony na kierownika stołówki, piekarni, sklepu i magazynu w miejscowości, gdzie były letnie roboty. Nie znając tamtejszych stosunków każdy pomyślałby, że na takim stanowisku można się wzbogacić, ale myśmy wiedzieli jedno, że to prosta droga do więzienia. Ojciec miał bardzo uczciwy pogląd na swoją pracę, ale niepraktyczny – to znaczy „starać się być czystym”, ale przy tym był głodny. Mama postarała się o miejsce sprzątaczkki, aby towarzyszyć ojcu.

W dzień imienin mamy (24 czerwca) całą rodziną wyruszyliśmy w 40 kilometrów drogę przez tajgę do nowego miejsca naszego pobytu. Tajga przedstawiała się imponująco. Co krok były połamane, zbutwiałe lub zgniłe drzewa i bujne poszycie leśne. Czarna otchłań tajgi była straszna, ale piękna. Okropną plagą były komary i tak zwana „meszka”. Nim doszliśmy do celu byliśmy przeraźliwie opuchnięci; oczy, nos, ustna – istne karykatury ludzkie. Szliśmy w ponurym nastroju, jak prawdziwi skazańcy. Wreszcie ujrzyliśmy

światła Kordonu, tak nazywała się miejscowość, do której zmierzaliśmy. Ogień płonął koło baraku, gdyż inaczej ludzie nie wytrzymaliby z uwagi na komary; żałośnie szumiące koło ogniska, a myśmy odpoczywali drapiąc nielitościwie nasze obrzękłe twarze.

W Kordonie cała nasza rodzina energicznie pracowała. Ojciec był odpowiedzialny za zarządzanie stołówką, sklepem, piekarnią i magazynem. Mama, niby sprzątaczką, kierowała interesami, jeśli chodzi o stronę praktyczną, bo rachunki i kalkulacje prowadził ojciec.

W programie dnia było dla mnie szorowanie nożem podłóg w baraku, sklepie, piekarni i wycieczka z Hanką na jagody. Tajga jest dzika, ale i urocza, choć ciemna i tajemnicza. Jagody były wielkie. Romantyczność tajgi jednak nas nie zachwycała, gdyż w okolicy grasowały niedźwiedzie, a spotkanie z „pocziwym misiem” nie należy do przyjemności.

Było kiepsko, ale najgorsze nadeszło, gdy wrogi ojcu naczelnik (ten, który spowodował ojca wyjazd na Kordon) zrobił kontrolę i okazało się, że chleba wydano ponad normę o 1000 kilogramów za dużo i ojciec miał za to odpowiadać. Ten niedobór powstał dlatego, że na Kordon przysłali do roboty w lesie rosyjskich chłopców z poprawczaka w wieku około 20 lat. Łobuzy te brały chleb, uciekały i do roboty się nie zgłaszały, a przecież chleb był tylko dla pracujących.

Wróciliśmy na lessozawod i zaczęły się bardzo nerwowe czasy. Znajomi odsuwali się od nas jak od trędowatych, bojąc się utrzymywać stosunki z oskarżonym. Wieczorem naczelnik Chrystolubow miał przemówienie, w którym wyjaśnił nam znaczenie amnestii. Byliśmy wolni, ale na wyjazd nie dawano nam żadnych podwód, jednocześnie namawiając nas gorąco abyśmy zostali na Syberii. Postanowiliśmy razem z innymi udać się do ciepłego Kazachstanu

W Majun-Kumie zastaliśmy na drogach nieprawdopodobnie głębokie błoto. Po przybyciu na miejsce uśmiechnięta Czechenka Ada, nie znająca ani trochę języka rosyjskiego, zaprowadziła nas do przybudówki, przy swej lepiance. To było nasze obecne mieszkanie. Pierwsze wrażenie było nawet miłe, bo pomieszczenie było czysto wysmarowane gliną. Umeblowanie nasze składało się z glinianego podwyższenia na spanie i z pieca o specjalnym kształcie, bez żadnych drzwiczek i z dziurą na opał. Na początek dostaliśmy od gospodyni trochę kartofli, co było drogim prezentem. Nasi gospodarze Czecheńcy (Kuti-jew) byli wysiedleńcami z Kaukazu. Mieliśmy dobrych gospodarzy, a w biedzie okazali się naszymi prawdziwymi przyjaciółmi. W kilka dni po przyjeździe zaczęliśmy pracować, bo wierni swej zasadzie towarzysze („kto nie pracuje ten nie je”) dawali chleb tylko pracującym. W zimie dla kobiet jedynym możliwym zajęciem był zbiór resztek bawełny. Pracowaliśmy wszyscy. Mama, ja i Hanka zbierałyśmy bawełnę, a ojciec ciął kamysz, czyli trzcinę cukrową.

Straszna była pierwsza zima w Kazachstanie. Byliśmy zmęczone pracą od świtu do zmierzchu i codziennie musiałyśmy pokonywać kilkukilometrową drogę do „uczastka”, czyli miejsca pracy. Byliśmy szczęśliwe, jeżeli można było w końcu iść do domu, uginając się pod ciężarem wiązanek, idąc prawie nosem przy ziemi. Wieczorem, jeśli były, jedliśmy niedogotowane kartofle oszczędzając na opale. Niecodziennie był chleb, pomimo tego że pracowaliśmy. Czasami po kilkugodzinnym staniu pod budką, gdzie chleb ważyli, dowiadywa-

łam się ja lub ojciec, że zabrakło chleba, albo, że go nie przywieźli. Kartofle kupowaliśmy sprzedając resztki rzeczy. W Wigilię Bożego Narodzenia ojciec poszedł do Niemców (przesiedleńców) wymienić trochę mydła na kawałek mięsa, ale oni potraktowali go jak żebraka.

Pożegnanie ojca

Ciężki był ten 1942 rok i stanowił przedsmak tego co nas miało spotkać w 1943 roku. Ojciec stale chorował, aż w końcu postanowił iść na ochotnika do polskiego wojska. Nie była to sprawa prosta, bo nie był już w wieku poborowym (miał 48 lat). W końcu nastąpiła dla niego okazja wyrwania się. Rosjanie budowali kolej i potrzebowali specjalistów. Ojciec nie namyślając się długo spakował rzeczy w worek i wziął Hanki zegarek. Na jego podróż, za pół darmo, sprzedaliśmy miedziany czajnik i srebrne łyżki. Żegnaliśmy się ze łzami w oczach i ojciec ruszył pieszo w 18 kilometrową drogę do stacji Czu. Poprzedniego dnia był na pożegnaniu u naszych gospodarzy i Mahomet obiecał mu uroczyscie, że nie da nam umrzeć z głodu. Na drogę ojciec dostał od Ady lepioszkę i butelkę mleka. Po pożegnaniu z ojcem Ada przyniosła nam łyżkę masła, co było wielkim zbytkiem. Ojciec nie pisał do nas dość długo, bo od 16 lutego do 25 marca. W końcu przysłał nam kartkę, że przekracza granicę i z wojskiem jedzie do Iranu; żegnał nas i błogosławił. Do tego czasu był w namiotach, gdzie wszy, tyfus i głód porządnie dawały się we znaki.

Z nadejściem wczesnej wiosny znowu ruszyłam do pracy. Po sprzątnięciu z pola bawełny sadziliśmy buraki cukrowe. Przy ich okopywaniu po raz pierwszy zachorowałam na serce. Przyczyną była nie sama praca, lecz nielitościwie prażące słońce. Jeżeli był tydzień pochmurny, to robiłam nawet ponad normę, tak że pewnego razu, razem z Hanką, zarobiłyśmy przez tydzień 31 kilo mąki za pracę przy burakach, co było poważnym zapasem na przyszłość. Niestety, gdy słońce znowu prażyło, to traciłam wszelkie siły do pracy. Robiło mi się słabo, w oczach widziałam gwiazdy, w skroniach waliło młotem, a ból rozsadzał głowę. W końcu traciłam świadomość i mdlałam. Polski lekarz stwierdził u mnie nerwicę serca i newralgię. Te dolegliwości powtarzały się co dzień. Od godziny 11-tej do 16-tej byłam jak nieżywa, potem „kopałam” nosem w ziemi, aż wreszcie wieczorem Hanka wlokła mnie do domu.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia 1942 roku. Nasza Polonia, z mamy inicjatywy, urządziła Wigilię. Dzięki temu, że mieliśmy angielską mąkę były pierogi i barszcz. Życzyliśmy sobie nawzajem (i wierzyliśmy w to), że będzie to ostatnia Wigilia na obczyźnie (jakaż straszna czekała nas Wigilia w 1943 roku!).

Tożsamość w dokumentach

Przyszła upragniona wiosna, ale przyniosła nam potworny głód. Żywność się wyczerpała, nowej pomocy nie było, a do tego jak grom z jasnego nieba dotarła do nas wiadomość o zerwaniu stosunków polsko-rosyjskich. Zaczęło się od krótkiej wzmianki w gazecie, że Sikorki chce aby po wojnie granice Rzeczypospolitej Polskiej pozostały takie same jak przed wojną. Po zerwaniu stosunków polsko-rosyjskich zmuszono nas do przyjmowania sowieckich paszportów. Wówczas społeczność polska podzieliła się na dwa obozy, to znaczy jedni brali paszporty, a drudzy za odmowę ich wzięcia szli do więzie-

nia. Niektórzy nawet kryli się w polu, jak złoczyńcy. Dodam, że bez paszportów nie można było nigdzie mieszkać, ani pracować.

Musiałam wraz z mamą opuścić kołchoz Majun-Kum. Hanka, ponieważ nie była pełnoletnia, została pod opieką naszych gospodarzy Czeczeńców – Ady i Mahometa, którzy obiecali mamie, że będą ją uważali za swoje własne dziecko i gdybyśmy miały długo siedzieć w więzieniu, to przyjedziemy po Hankę na Kaukaz, do ich pierwotnej ojczyzny. Tak jak dla nas marzeniem była Polska, tak i oni wierzyli, że wrócą na swój Kaukaz, z którego zostali wywiezieni. Była to dla nas straszna chwila kiedy musiałyśmy się rozstać z Hanką. Z workami na plecach ruszyłyśmy do Nowotroicka. Myśmy do końca nie wzięły paszportu, ale nie wyszło nam to na dobre i na wiosnę 1943 roku doczekaliśmy się głodówki.

W końcu wybrałyśmy się do Majun-Kumu, żeby coś sprzedać w zamian za żywność. Poszłyśmy do naszych gospodarzy i do Hanki. Mama została u nich na noc, ale w nocy NKWD zrobiło rewizję. Mama skuliła się na posłaniu pod kożuchem Mahometa, a roztropna Ada na pytanie NKWD, kto śpi pod kożuchem odpowiedziała, że to jej córka. Tym samym uratowała mamę od więzienia, narażając swoją rodzinę.

Przyszła Wigilia Bożego Narodzenia. Nie miałyśmy czym palić, a do jedzenia miałyśmy małe rybeczki, jakich się w Polsce nie jada. Było strasznie zimno. Pozostało nam tylko rozmyślać o przeszłości i o Polsce.

Głodne stępy

W 1944 roku przyszedł kryzys. Już na początku roku było tak źle, że mama patrząc na nas zastanawiała się, która pierwsza umrze z głodu. Chodziłyśmy z Hanką na pole szukać resztek buraków, ale było ich bardzo mało, przy czym bardzo dużo śniegu trzeba było odgarnąć aby znaleźć buraka i go wyrąbać z lodu. Gotowałyśmy z nich napój niby herbatę z przypalonej mąki. Jeżeli była mąka do buraków, to były placki. Byłyśmy stale głodne i zmarznięte.

W końcu lutego 1944 roku nastąpiła zmiana na lepsze. Zaczęła robić się wiosna i buraki wychodziły spod śniegu, a chociaż były bardzo zgniłe, to jednak można ich było więcej przynieść do domu. Pamiętam było to 26 lutego kiedy poszłyśmy z Hanką na buraki i żarłocznie jadłyśmy obłocone buraki z pola, które były zgniłe.

W domu dowiedziałyśmy się, że w fabryce tkackiej jest za mało robotnic, a więc rząd zorganizował tzw. FZO, tzn. Fabriczno-Zawodskoje Obuczenie. Jeżeli ktoś z polskiej młodzieży w wieku 16-20 lat zdecydował się wstąpić do tej szkoły musiał podpisać kontrakt, że naukę, ubranie, jedzenie i pomieszczenie odpracuje dla państwa przez 4 lata w tejże fabryce.

Nauka trwała pół roku. W ramach praktyki dziennie pracowałyśmy najpierw po 6, potem po 8 i wreszcie po 11 godzin na wszystkich zmianach (łącznie z nocnymi). Oprócz tego uczyłyśmy się o budowie maszyn, miałyśmy też nauki polityczne, różne pogadanki i ćwiczenia gimnastyczne łącznie z budową stadionu. O tym wszystkim dowiedziałyśmy się dopiero na miejscu, ale od samego początku wiedziałyśmy, że wyjazd do tej fabryki jest dla nas ratunkiem od niechybnej śmierci głodowej, bo przecież mieli nam dawać 400 gram chleba dziennie.

Wreszcie wróciłam z FZO do mamy. Hanka musiała zostać. Czekałam u progu lepianki, gdzie mieszkała moja mama. Mama w końcu wróciła z pracy. Była ubrana w zielonkawą spódnicę zrobioną z poszwy, pofarbowaną w chininie i bluzkę z bandaży, które wypisały doktorki. Przywitałam ją tymi o to słowami „nie martw się mamo ja tylko przyjechałam na urlop więc wytrzymamy”. Myślałam przecież, że mama sama jest bardzo głodna. Mamie zakręciły się łzy w oczach i zaczęła zapewniać, że ma co jeść. Rzeczywiście na polu miała trochę kukurydzy i zupę od doktorek, które oddawały jej swoje porcje otrzymywane w szpitalu. W końcu i ja zaczęłam płakać, bo przypomniałam sobie jak to mama patrzyła na nas przed wyjazdem, zastanawiając się, która z nas pierwsza umrze.

W końcu i Hanka wróciła z FZO do domu, a raczej uciekła. Po skończonym kursie pracy ponownie nakazano jej podpisać umowę, że odpracuje 4 lata w fabryce. Hanka uciekła razem z młodszą koleżanką i w końcu obie głodne i wycieńczone dotarły do nas, na szczęście unikając aresztu. Jechały pociągiem towarowym ukryte w balach drewna. Hanka była ledwie przytomna i wynędziała, ale jednak była w domu.

Miłość dziadków

Skończyła się wojna i mieliśmy wracać do domu, najpóźniej do Nowego 1946 Roku. Niestety ku naszej rozpaczy wyjazd został odłożony. Zdążyliśmy już zapomnieć jaka była nasza radość, gdy zdobyto Berlin i jak na trawie tańczyliśmy polkę, gdy ogłoszono pokój. Dopiero w Wielki Czwartek 1946 roku wyruszyliśmy z kołchozu w drogę, a po tygodniu dalej w świat. Byliśmy bezgranicznie szczęśliwi, gdy mijaliśmy Wołgę, a gdy przejeżdżaliśmy przez Kijów, to już była prawie Polska, a później był Wołyń. Nasz transport przejeżdżał przez Lublin, gdzie zatrzymał się dłużej. Nasza rodzina z Lublina, u której nie zatrzymaliśmy się w 1939 roku, przyniosła nam trochę rzeczy.

Nasz transport przejeżdżał przez Bydgoszcz, jadąc do Jeleniej Góry. Wsiadliśmy w Bydgoszczy, a było to w niedzielę 12 maja. Przygarnęła nas babcia Chamcowa, nas brudnych i zawszonych tułaczy, zesłańców.

Mialiśmy nadzieję odzyskać nasze rzeczy. Niestety oddali nam tylko dwa tapczany i krzesła odarte ze skóry. Gospodarz nie wpuścił nas do naszego mieszkania, które teraz zajmowała jakaś paniusia, która o mały włos nie zrzuciła nas ze schodów. Udało się nam jeszcze wyrwać dwa nasze dywaniki, po czym poszliśmy do PCK odpocząć, jak bezdomne psy. Tam nas o nic nie pytano. Postawili nam miskę ciepłej zupy. Widocznie wzięli nas za nędzarzy.

Po kilku tygodniach pojechałam z Hanką do Sandomierza, a mama do Gdyni do swojej siostry. Dopiero w Sandomierzu okrzyk Dziadka do Babci „Maniu wnuczki, wnuczki wróciły” uprzytomnił mi, że mamy jeszcze kogoś bliskiego w Polsce. Nasz Ojciec wrócił do kraju 29 czerwca 1947 r. jako żołnierz Armii Andersa, ale zobaczyliśmy się dopiero 1 lipca.